

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

UPIÓR OKRĘTOWY.

(Dokończenie.)

Nieposiadał się w samej rzeczy, a przestach i zamieszanie panowały na całym okręcie, któren się bujał i obracał. Majtkowie i żołnierze biegali bez ładu. Jones robił wszystko, co tylko zrobić może dzielny oficer dla zapobieżenia niekarności; uwijał się wszędzie, napominał jednych, a bił drugich. Od kapitana nie usłyszeć niemożna było, prócz tych słów: »Złośliwy nieprzyjaciel!« albo: »widmo!« Ostatni ten wyraz, najgorsze czynił wrażenie. Gdyby majtkowie byli samego diabła zobaczyli, nienapędziłby im takiego strachu; byłiby wiedzieli, że to ich nieprzyjaciel, a dótego chytry i niebezpieczny, przeciw któremu walczyliby mieli sobie za powinność. Lecz ta myśl, być nawiedzonymi i dręczonymi przez widmo, była dla nich zgrozą, wzburzającą całe ich wnętrzości.

Najpierwszy kapitan schronił się do swojej kajuty; lecz przykre uczucie obawy, że to straszne stworzenie i tam do niego przyjdzie i każde wyjście zatamować może, tak gwałtownie wstrząsnęło jego nerwy, iż ztamtąd na wierzch strażnicy wylazł, z kąd drżącym głosem rozkazał obadwa czółna spuścić, a potem okręt zapalić.

Wtedy, kiedy jedni chcieli dopełnić rozkazów, a drudzy się temu opierali, wylazła poczwara prze-

dnia częścią okrętu, niosąc swą beczkę i motykę, jakby nią chciała beczkę otworzyć; przytem zwróciła palające swe oczy na kapitana, i postąpiła ku niemu. Wszyscy pouciekali; kapitan zaś skoczył z najstraszniejszym wyciem obłąkanego na pokład, rzucił się w morze i znikł.

Potwór wydał z siebie przeraźliwy śmiech, pobiegł po swój koszyk, uchwycił go w obie ręce, rzucił się z nim w morze, wyciągnął nieszczęśliwego kapitana z toni, włożył go w piekielny koszyk i znikł w oka mgnieniu. Słyszeliśmy krótki przerywany głos krzyku przestraszonego cierpiącego, i to było wszystko. W tej chwili podniósł się zanurzony okręt z morza, niebo wyjaśniało i na większe nasze podziwienie ujrzeliśmy się na tem samem miejscu, gdzieśmy się na początku burzy znajdowali, a z kąd mieliśmy być daleko ku południowi odrzuconemi.

Po powróconej spokojności najpierwszą naszą czynnością było, ową beczkę otworzyć, z którą nasz piekielny gość tyle nadokazywał. Odbyło się to na pokładzie w przytomności więcej, jak stu świadków. Wszystko cośmy w niej znaleźli, były zwłoki młodej dziewicy, z przerziętym gardłem, rozciętym brzuchem i wydartemi wnętrzościami. Takim więc okropnym sposobem była zamordowana.

To jest wszystko, co z pewnością powiedzieć mogę. Daleko później dowiedziałem się, że kapi-

tan *M'Nicol*, wczasie jednej poprzedzającej to zdarzenie podróży, miał na okręcie dwoje młodych cudzoziemców, udających się do Liwerpołu; młody mężczyzna znikł, a to jest pewnem, że kapitan kochankę jego sobie przywłaszczył. — Czy zaś owe zwłoki były jej lub nie, tego powiedzieć nie mogę. Niepodpada żadnej wątpliwości, iż na tem miejscu na pełnem morzu, gdzie kapitana tak okropny spotkał przypadek, spełnioną była o zemstę wołająca zbrodnia. Miałoto służyć za przestrożę, iż nigdy nie trzeba się ważyć, popełniać jakakolwiek bądź zdrożność w nadziei, że zostanie ukrytą. Wszystko, wcześniej czy później, na jaw wychodzi, a nam karę, hańbę i zgonę przynosi. Na wszelki przypadek możecie się na to spuścić że niezawodnie przyjdzie dzień, w którym każdy zły postępek przed sądem ludzi i nieba będzie objawiony.

PRYZGODA W HISZPANII.

Może to niejest powszechnie wiadomem, że w Hiszpanii delizansę i podróżujący z prowadzącymi małpy opłacają pewien rodzaj haraczu naczelnikom rozbójników, aby niebyli rabowanymi. Rząd hiszpański, czyli władze sądowe przed stu, dwustu laty, tak były słabe, że podobne bezprawia publicznie cierpiano. W następującym opisie pewnego podróżnego, dowiemy się o przypadku, gdzie rzezoną opłata nienastąpiła.

»*Ramon*, nasz stary konduktor, człowiek spokojny, jacy się w Andaluzji znajdują, obudził nas w sam czas, a nim wschodzące słońce pozłociło śniegiem okryte wierzchołki *Revado*, jużśmy mijali starą, w rozwalinach będącą kolonią *La Garlota*, znajdującą się w dolinie *Guadalquiver* i przejechaliśmy przez wzgórza jedynie tylko drzewami oliwnymi obsadzone, któredy prowadzi droga do sławnego miasta *Leija*, tuż przy *Xenil*. Tu pozostaliśmy na noc, uradowani, skoro nas konduktor zapewnił, że możemy się śmiało cieszyć z tego, iż nam się udało dostać się bez żadnej

przygody do tak pewnego miasta. Następnego dnia wstaliśmy znowu równo ze słońcem, w nadziei, że z początkiem nocy stanimy na przeznaczonem dla nas miejscu. Że wzgórza i cierniowe krzaki, wedle których przejeżdżać musieliśmy, wzbudzały niejaką obawę, zatem *Ramon* wysłał dwóch swych pomocników naprzód na rozpoznanie, a po obu stronach pojazdu, były również wysłane zwiady. Strzelby nasze i pistolety obejrzał stary, i okiem myśliwego, którego zamierza zrocić ptaka w locie, często głośno wołał: »Stój!« dla obeznania nas z wykrzykiem rozbójników, aby gdy takowy w samej rzeczy da się słyszeć, który z nas czasem z przestraszenia niechybił przeciwnika. Nakoniec rozwinęła się przed oczyma naszymi piękna otwarta równina, w środku której wznosi się samotnie góra w kształcie kręgła, na wierzchołku tej, stoi stare miasto *Carmona*, i rozwaliska meczetów i wież, będących kiedyś własnością owych *Maurów* mieniących się niezwykłymi.

W tem miejscu równina jest prawie całkiem оголоcona z drzew, a karłowate tylko zarośla spozstrzegać się dają. Za ledwieśmy dostali się na otwartą płaszczyznę, zaczęto się naszmiewać z dobrego ojca *Ramona*, bo takeśmy go nazywali. Przednia straż była ściągniętą, zwiady skrzydłowe zajęły znowu swoje siedzenia, a surowa karność wojskowa znikła. Właśnie zbliżaliśmy się do osobnego dziedzińca i ogrodu, w miejscu byłego tam kiedyś zamku, otoczonego poczęści drzewami oliwnymi o kilka kroków od drogi oddalonemi. Za ledwieśmy spostrzegli dziedzienniec, a stary zawołał swoje piorunujące »stój!« rokazując nam zarazem uchylić się wgląd pojazdu. Każdy spojrzął na *Ramona*, mniemając, że wykrzyknięcie to było nowym wypróbowaniem naszej odwagi; lecz wkrótce przekonaliśmy się, że to nie o to chodziło, widok jeźdźca, prawdziwego od stóp do głów rozbójnika, dowiódł nam, że wielka przezorność *Ramona* była niebezzasadną. »Uchyłcie się!« powtórzył jeszcze raz, i obróciwszy się do nas rzekł »Teraz, moi panowie, róbce, co możecie; djabeł już swą grę rozpoczął.« — »Czego pan żądasz?« ode-

zwał się do jeźdźca: »Ojcie Ramonie« odpowiedział tamten, »nieczyń nam próżnych trudności; macie przy sobie znaczną ilość złota, nielicząc innych znacznej wartości rzeczy. Daj nam dwie trzecie i przekaz waszego bankiera w Sevilli na sto funtów, w tedy możecie spokojnie w dalszą drogę jechać.« Tymczasem mieliśmy sposobność naszemu jeźdźcowi bliżej się przypatrzeć. Był on zupełnie ubrany, jak andaluzyjski modniś, na dobrym koniu, z ogromnemi ostrogami, a strzemiona i siodło tureckie z wygodnem z tyłu oparciem. Jasno zielona siatka okrywała klacz jego, pistolety błyszcząły z elstrów, a w rękę trzymał lance ze strasliwym grotem, który nam zdaleka tak zagrażał, jak i obosiecznik przy boku jego. Ładownicę z kolorowej skóry miał on przypiętą w koło siebie, z najmniej piętnastu ładunkami, w dwóch rzędach.

Po tak przyjacielskiem przełożeniu rozbójnika, stracił nasz Ramon odwagę, i odezwał się: »Jesteście bardzo grzeczni, Cadalbro, ale czy sześciu szlachty kastylijskiej, których z sobą wiozę, zechce przystać na to? Ja z mej strony niejestem przyjacielem zatargów. Wskażcie nam tylko drogę, jakabyśmy się z honorem z tego miejsca mogli wywikłać, a zaręczamy, że nie damy pierwszego strzału.« »Wielu was jest, porównajmy nasze siły! — Nim zaś jeździec zdołał odpowiedzieć, młody wojskowy nazwiskiem *Rojas*, który z nami jechał, wy dobył pałasz i krzyknął: »Łotrze! czyż mamy być zaprzędani, jakby stado owiec?« — »Jeżeli tak, to weście się do oręża, mości panowie!« krzyknął przewodnik z iskrzącymi oczyma. »Carajo!« wrzasnął rozbójnik, zwracając konia, »lepiej się z wami obszedłem niż zasługujecie« a złożywszy się do strzelby o jakie sto kroków, spuścił kurek, i biedny *Rojas* padł z okrzykiem zemsty. Kilka strzałów nastąpiło; dwóch pedzających muły padło, a ośmiu lub dziesięciu innych rozbójników pokazało się z lasku. »Carajo!« zawołał jeszcze raz dowódca, »nauczę ja was z większem uszanowaniem traktować dzieci z *Ecija*.«

Nasi kastylijańscy podróżni trzymali się jednak dzielnie. Odpowiadaliśmy strzałami, a Ramon, robiąc z potrzeby cnotę, przedsięwziął bronić swej własności do upadłego. Z wściekłością upominał

każdego, aby pełnił swoją powinność, i poprowadził swoich mulników powtórnie do boju. Broń nasza niebyła w najlepszym porządku, i niestrasiała tak pewno i tak daleko, jak nieprzyjaciela, który po każdym wystrzale się odwracał, nabijał i powracał. Gdy jeden stary Kastyljczyk to postrzegł, radził, aby za każdą razą ścigać rozbójnika i blisko nacierać; pomysł ten wcale się naszemu Ramonowi niepodobał, oświadczył bowiem, że powinnością jego jest pilnować pak. Czterech z naszego towarzystwa już było rannych, a jeden bliskim wyzionięcia ducha. Przy nowo-powtórnym napadzie byłem ranny kamieniem w oko i w ramię tak, że nim władać nie mogłem, i kiedy cała banda uderzyła na nas z dobytymi pałaszami i z krzykiem: »Padajcie na twarz!« wtedy co się tycze mnie, niepotrzebowali rozkazu powtarzać. »Ale jakie to dzieciństwo z strony Ramona, tyle mnie czynić trudności. Kładźcie się na ziemię!« Wszyscy okazali się posłusznymi z pośpiechem, wyjąwszy ojca *Antoniego*. Zdawało się, iż źle się skończy, gdyż on przy ostatnim wystrzeleniu nieszczęśliwym trafem w łeb postrzelił konia dowódcy, a ten poprzysiągł, że z nim postąpi nietak, jak z chędzem, lecz jak z laikiem, umiejacym się z bronią obchodzić. »Niech się wprzód namodli, mówił jeden z bandy, niedługo on to załatwi, wszakże to jego rzecz. Sam papież mnie od rozpoczęcia tego zamiaru nieodwiedzie!« zawołał dowódca, »zabił najszlachetniejsze zwierze, na którym od czasów *Rabieca* i *Cite* jeżdżono. Hola! *Chrisostoval*, przywiąż obu łotrów, którzy naprzód wystrzelili, do drzewa, dopomóż im, a potem spiesz się abysię oddalić.«

W tym *Chrisostoval* podniósł Antonia głowę, i poznał w rozbójniku swego brata, a kochanka jego siostry, od której miał dla niego upominek miłosny. Powierzchność młodego tego człowieka szczególnie różniła się od innych rozbójników piękną postawą; oczy i włosy jego były jasno-brunatne, co kobiety andaluzyjskie za rzadką piękność uważały. Przywiązali żyjącego jeszcze *Rojasa* do drzewa, i zdawało się, że mu tem mniej pobłażać myśleli, skoro z czapki jego poznali, że był gwardzistą narodowym. Lecz

gdy zebrali się koło ojca Antoniego, głośno zawołał tenże, podnosząc rękę z upominkiem miłosnym swojej siostry, »Christoval Moreno, czy niepoznajesz tego? Ratuj twego brata *Antonio Lura!*« Na te słowa skoczył Christoval z nożem w rękę pomiędzy swych kolegów, wołając głosem piorunującym: »Na Matkę Najświętszą! nikt nie dotknie się ani włosa na głowie jego!« — »Precz Moreno,« krzyknął dowódzca, »jeżeli ci miłe życie! Jak jestem twoim przyjacielem, tak umrzeć musi!« Po tych słowach rozkazał bandzie oderwać Christovala i niewolników zabić, gdy w tej samej chwili dał się słyszeć głos: »Niech żyje królowa! precz z rozbójnikami!« i w oka mgnieniu stanął przy nas znaczny oddział jazdy, któren wyskoczył z zarosli. Rozbójnicy tak byli zmieszani, że niemogli zrobić ani jednego wystrzału. Dwóch już było rozbójionych, a trzeci schwytny; Christoval zaś rzucił się na konia i z pułtuzinem najbliższych rozbójników zemknął, gdy tymczasem Pedro, dowódzca, zaledwie miał czas cofnąć się w blisko będące zabudowanie. Zawalili wejście. »Mamy go, otoczmy dom!« zawołał oficer do żołnierzy i natychmiast wszystkie wejścia załamowane. Oficer postąpił aż do samych drzwi i wzywał rozbójników, aby się poddali. Raptem otworzył śmiałek i o długość tylko ręki złożył strzelbę swoją do głowy oficera. »Pozwól mi odstąpić, młody paniezu« zawołał, »przykroby mi było, żebyś się widział zmuszonym swoją krew niepotrzebnie wylać.« Młodziwiec nie miał nic, jak tylko swoją szpadę, nena myślał się jednak ani chwili, rzucił się z krzykiem »Niech żyje królowa!« na rozbójnika, który wypalił ze strzelby. Na szczęście, strzał chybił, a dowódzca rozbójników powalił się na ziemię.

Uwolniono przywiązanych do drzewa, a łatwo sobie wystawić można, jak serdecznie dziękowaliśmy naszym wybawicielom, a szczególnie walczącemu młodemu oficerowi, i jakieśmy go z otwartością przyjmowali po przybyciu naszym do Carmona.

Opatrzono rannych, a Pedro »Straszny,« jak go nazywał Ramon, był jedynym, który przygodę tę życiem przypłacił.

— *Przemysł dla płci pięknej.* — Przez ogłoszenie tajemnicy zachowania kwiatów i wśród najcięższej zimy, sądzimy, iż sobie zjednamy niejakię względy u płci pięknej, uwalniając ją od haraczu, który właścicielom cieplarni i robiącym kunsztowne kwiaty dotychczas opłacała. Nie samo to ciepło w oranżeryach dostarcza nam kwiatów podczas zimy. Zamiast żądać, aby gorąco rozwijało nam kwiaty, możemy wymagać, aby zimno zachowało nam w pączku ich dojrzałość. Nic łatwiejszego, jak w lodowni zgromadzić sobie zapas świeżych kwiatów na zimę, a mianowicie wszelkich gatunków, któremi najkwiecistsze pory roku zdobią nasze ogrody. Sposób na to jest tak prosty i tani, iż dziwić się wypada, dla czego powszechnie nie jest znany. Kwiat, który sobie zachować życzymy, należy w czasie bardzo suchej pogody, i nieco wprzód, nim się pączek rozwinie, oderznąć i włożywszy go do szklanego lub jakiegokolwiek innego, ale dobrze poliwanego naczynia, dla zachowania od wilgoci i ciepła, irchę napuszczoną olejem obwiązać. To naczynie ustawia się w przedsionku czyli szyi lodowni, albowiem zimno niżej zera mogłoby łatwo kwiat zmrozić. Chciawszy nareście kwiat wydobyć, kładziemy go najprzód do zleconej wody rzecznej, potem przechodzimy pomalą do cieplejszej temperatury w pokoju, gdzie szypulki do letniej wody zanurzamy, rozpuściwszy w niej cokolwiek saletry. Tym sposobem pośród zimy utrzymujemy tak świeże kwiaty, jak gdyby dopiero w chłodnej rosie śród lata były zerwane. Ten sam cel osiągnąć można i bez lodowni, napaliwszy cokolwiek pieńka nie zbyt delikatnego kwiatu, i zalawszy lakiem tę bliznę. Naczynie, w którym go szczelnie zamkniemy, należy wstawić do suchej piwnicy, a tym sposobem otrzymamy i wśród zimy kwiaty.

S Z A R A D A.

Pierwsze wątpi, drugie przeczy,
Wszystko owoc rosnący bez najmniejszej pieczy.

Znaczenie przeszłej szarady: KOLASKA.